

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/niemcy/74930,Erich-von-dem-Bach-Zelewski.html>



Rynek Starego Miasta (strona Zakrzewskiego) w Warszawie w sierpniu 1944 r. Fot. Wikimedia Commons

BIOGRAM / BIOGRAFIA

Erich von dem Bach-Zelewski

Autor: ANNA ZECHENTER 30.09.2020

Powoływał się na rycerski kodeks honorowy, przesłuchiwany przez prokuratora z Polski, przyznawał się do polskich korzeni. Generał Waffen-SS i policji Erich von dem Bach-Zelewski, odpowiedzialny za zagładę powstańczej Warszawy i masakrę dziesiątków tysięcy jej mieszkańców, nigdy nie odpowiedział za to przed sądem.

„Anioł Lucyfera”

Amerykańskiego psychiatrę Leona Goldensohna, który miał do niego dostęp podczas głównego procesu norymberskiego w 1946 r., Erich von dem Bach usiłował przekonać, że podczas Powstania Warszawskiego uratował tysiące kobiet i dzieci, że w Auschwitz było centrum szkolenia oddziałów SS, że zakazywał prześladowania Żydów i zakładania gett.

„Całe szczęście, że kilku przyzwoitych ludzi, takich jak ja, miało duże wpływy w SS, dzięki czemu zapobiegliśmy złu”

– mówił. Zapowiadał, że kiedy odzyska wolność, napisze książkę o swoich doświadczeniach jako dowódcy SS pod tytułem *Anioł Lucyfera*.

„Katolicki kapelan mówi, że jestem dobrym katolikiem. [...] W oczach Kościoła nigdy z niego nie odszedłem”

– twierdził. Goldensohn szczególnie zaakcentował w swoich notatkach jego „przymilność”.

Także w rozmowie z prokuratorem Jerzym Sawickim, reprezentującym w Norymberdze komunistyczną Polskę, von dem Bach podkreślał swoje starania o łagodzenie rozkazów przełożonych. Kłamstwu, sprytowi, a także inteligencji, którą niewątpliwie górował nad swoim otoczeniem w SS, zawdzięczał nie tylko karierę, lecz i ucieczkę przed odpowiedzialnością. W głównym procesie przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze składał zeznania obciążające niedawnych zwierzchników. Trzeba było nie lada przebiegłości, by w jego sytuacji uzyskać u Amerykanów status swego rodzaju świadka koronnego.



Erich von dem Bach-Zelewski,
generał SS i policji, 1944 r. Fot.

Wikimedia Commons

Wybrał niemieckość

Wokół pochodzenia Ericha von dem Bacha-Zelewskiego narosły nieporozumienia, które wynikały nie tylko z jego zmyśleń, lecz i ze skomplikowanej sytuacji narodowościowej w Prusach Wschodnich. Przyszedł na świat w 1899 r. w Lauenburgu (dziś: Lębork) na Pomorzu Gdańskim, w uboższej od pokoleń kaszubskiej rodzinie szlacheckiej Zelewskich, która swoje gniazdo miała w Seelau (dziś: Zelewo w powiecie wejherowskim). W jego rodzinie przez wieki żywił niemiecki mieszał się ze słowiańskim. Część Zelewskich się germanizowała, czego dowodzić może wybór imion w kolejnych generacjach.

W rozmowie z prokuratorem Jerzym Sawickim, reprezentującym w Norymberdze komunistyczną Polskę, von dem Bach podkreślał swoje starania o łagodzenie rozkazów przełożonych. Kłamstwu, sprytowi, a także inteligencji, którą niewątpliwie górował nad swoim otoczeniem w SS, zawdzięczał nie tylko karierę, lecz i ucieczkę przed

odpowiedzialnością.

Otto Jan, ojciec Ericha, nie odziedziczył żadnego majątku, więc wciąż przenośli się za chlebem. W Lęborku osiadł w 1899 r. – był wówczas akwizytorem ubezpieczeniowym. Po jego śmierci w 1911 r. owdowiała Elżbieta z domu Szymańska nie mogła utrzymać szóstki dzieci, dlatego dwunastoletniego Ericha przygarnął właściciel ziemski von Schickfuß z Dolnego Śląska. Bach nie lubił do tego wracać.

Niejasności dotyczące jego związków z polskością wyjaśnili Tomasz Żuroch-Piechowski i Marek Dziecielski. Ten ostatni wykazał, że żaden z przodków generała nie używał przydomka „Bach”, który przywłaszczył sobie Zelewski, podszywając się pod rodzinę Bach-Zelewskich z dzisiejszego powiatu wejherowskiego. Pierwszy raz użył podwójnego nazwiska w 1933 r., podpisując życiorys, a siedem lat później zdecydował się rozstać z „Zelewskim”. W liście do Reichsführera SS Heinricha Himmlera z października 1940 r. „junkier pruski”, za jakiego uchodzi w wielu źródłach, tak motywował swoją decyzję:

„[...] podjąłem w większym zakresie badania genealogiczne, aby w rezultacie przestać nosić drugie polsko brzmiące nazwisko. [...] przywiązuję wagę do tego, aby [...] moi trzej synowie mogli w przyszłości wstąpić do SS i w każdej chwili wykazać działania swego przodka, SS-Gruppenführera, przeciwko Polsce”.

Od tamtej pory podpisywał się „Erich von dem Bach”.

Esesman z Bogdańca

Na wojnę poszedł w grudniu 1914 r. jako piętnastoletni uczeń – i został do armii przyjęty, dzięki czemu zyskał sławę najmłodszego ochotnika. Nie należał do tchórzy – uhonorowany dwoma Krzyżami Żelaznymi, został pod koniec wojny, w wieku siedemnastu lat, podporucznikiem. Gdy zamilkły działa, zawiedzeni „ciosem w plecy” zdemobilizowani wojskowi zaczęli zakładać Freikorpsy – ochotnicze formacje paramilitarne, niebrzydzące się żadną zbrodnią. W ich szeregach Bach tłumił krwawo Powstania Śląskie. Wyróżnił się zaciętością, która została nagrodzona Odznaką za Męstwo i czarnym Orłem Śląskim.

Gdy rozwiązano Freikorpsy – wymykające się spod kontroli ministra obrony – przeszedł do Reichswehry, co zapewniło założonej przezeń rodzinie materialne podstawy bytu. Ponieważ jednak należał do Stahlhelmu (Związku Żołnierzy Frontowych) i deklarował otwartą wrogość wobec traktatu wersalskiego oraz Republiki Weimarskiej, musiał się rozstać z armią w 1924 r. Dzięki przysługującej mu ustawowo emeryturze

i dorywczym pracom, również za kierownicą berlińskiej taksówki, dorobił się chłopskiego majątku w Dühringhofie w powiecie Landsberg an der Warthe (dziś: Bogdaniec w powiecie gorzowskim). Jednocześnie służył w miejscowej Straży Granicznej.

Na początku 1930 r. człowieka z takim życiorysem przyjęła z otwartymi ramionami hitlerowska NSDAP, w lutym kolejnego roku wstąpił do SS. Był pierwszym członkiem organizacji w swoim powiecie, zakasał jednak rękawy i szybko sformował struktury SS w okręgach Frankfurt an der Oder i Schneidemühl (dziś: Piła) oraz formację SS-Grenzschutzu – straży granicznej podległej SS. Awansował błyskawicznie: w ciągu dwóch lat z SS-Obersturmführera (porucznika) do stopnia SS-Brigadeführera (odpowiednik generała brygady). Jako regionalny dowódca SS w Prusach Wschodnich i na Dolnym Śląsku zdobył w marcowych wyborach 1933 r. do Reichstagu mandat z okręgu Breslau (Wrocław) – i zachował go do końca wojny.

Wilki skaczą sobie do gardeł

W Königsbergu (dawniej Królewiec, dziś Kaliningrad), gdzie w 1934 r. był szefem policji, Bach popadł w konflikt z Erichem Kochem – nadprezydentem Prus Wschodnich, a podczas II wojny światowej komisarzem Rzeszy na Ukrainie. Oburzony protegowaniem przez Kocha dawnych towarzyszy walki, stanął po stronie radcy miejskiego Paula Wolffa, który w listopadzie 1934 r. wysłał do Adolfa Hitlera donos na Kocha.

Tymczasem więzienia w Rzeszy i Generalnym Gubernatorstwie zapełniały się aresztowanymi, więc praktyczny Bach wpadł na pomysł założenia obozu koncentracyjnego dla 10 tys. więźniów. Za najlepszą lokalizację uznał dawne koszary wojskowe pod Auschwitz – wcielonym do Rzeszy Oświęcimem.

Gdy Koch zażądał od Wolffa wydania kopii pisma – najwyraźniej chciał poznać jego treść – wybuchła regularna bójka. Wolff oberwał, ale kopii nie wydał. Uciekł wzburzony do Bacha, a ten powiadomił pisemnie o wszystkim Himmlera, który zjechał do Królewca z komisją śledczą. Koch stracił wszystkie stanowiska, w grudniu Hitler przywrócił go jednak do władzy – ludzie tego pokroju byli potrzebni Rzeszy, szykującej się do podboju Europy. Ponieważ Bach wyszedł z konfliktu bez szwanku, zaczęła uchodzić za pupila Hitlera. Wódz mawiał o nim: „najwierniejszy z wiernych”.

Koch znienawidził Bacha. Sądzony w Warszawie w latach 1958–1959, nie zrezygnował z żadnej okazji, by przedstawić go jako złego ducha Himmlera.

„Gdybym skapitulował przed wrogami partii, gauleiterem zostałby Bach-Zelewski, a ten zaprowadziłby politykę Himmlera na obszarach od Bałtyku po Morze Czarne” – przekonywał.

W lutym 1936 r. Bacha przeniesiono na równorzędne stanowisko do Breslau, aby zapobiec dalszym konfliktom z Kochem. Zadał o to zaprzyjaźniony z nim Himmler, ojciec chrzestny syna Bacha.



Podpisanie „Układu o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie”, kończącego Powstanie Warszawskie. Zdjęcie wykonano w kwaterze Ericha von dem Bacha w Ożarowie Maz., 3 października 1944 r. Fot. Wikipedia Commons

Utopia na szczątkach ofiar

Na Górnym Śląsku, zaanektowanym przez Niemcy, Bach objął w listopadzie 1939 r. stanowisko pełnomocnika komisarza Rzeszy ds. umacniania niemieczyny. Nie brał udziału w napaści na Polskę – był potrzebny do zadań wymagających zdolności organizacyjnych i politycznego rozeznania. Szło mianowicie o kolonizację polskich ziem wcielonych do Rzeszy. Podstawę prawną dla tej operacji stanowiła ustawa z 14 lipca 1933 r. „O tworzeniu na nowo chłopstwa niemieckiego” autorstwa szefa Głównego Urzędu ds. Rasy i Osadnictwa, SS-Gruppenführera Richarda Waltera Darrégo.

Jeden z czołowych ideologów NSDAP, były członek Związku Artamanów, przeniósł na grunt ideologii

nazistowskiej ideały wspólnot rolniczych powstających w Niemczech od 1924 r. Ich celami były powrót do prostych zasad życia na łonie natury i w zgodzie z nią (perskie „artam” znaczy „naturalny porządek”) oraz wpojenie członkom zasady wodzostwa. Ratunkiem dla narodu niemieckiego miało być chłopstwo – „źródło życia rasy nordyckiej”, przyszli osadnicy, mający skolonizować obszary aż po Ural. Ziemię zdobytą mieczem trzeba było zagospodarować.

Wielu przyszłych nazistów, zwłaszcza esesmanów, przewinęło się przez wspólnoty artamanów – znajdowali się wśród nich i komendant obozu Auschwitz Rudolf Höß, i szef SS Heinrich Himmler. Ich marzeniem było wówczas proste, chłopskie życie. Droga do niego musiała jednak wieść przez obozy zagłady, w których należało eksterminować „rasy niższe”, niezdolne do realizacji aryjskiego ideału.

„Ludzie jak bydło”

Bach stanął zatem przed poważnym wyzwaniem, stanowiącym część szerszego planu, mającego zapewnić Rzeszy *Lebensraum*, czyli przestrzeń życiową. Chwalił się, że jego dewizą jest „traktowanie istot ludzkich jak bydła” – i tej dewizie pozostał wierny. Od września do grudnia 1940 r. podległe mu oddziały SS i gestapo wyгнаły w ramach *Saybuscher Aktion* („operacji żywieckiej”) ok. 17,5 tys. Polaków z rejonu Żywca do Generalnego Gubernatorstwa, a na ich miejsce sprowadzono Niemców.

Scenariusz był ten sam co wcześniej na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku.

„Znam go z rodzinnych opowiadań: gestapowcy, krzyki, zastrzelony pies, godzina na opuszczenie gospodarstwa z tym, co zdołasz unieść w rękach – pisał Tomasz Żuroch-Piechowski. – Cenne rzeczy zostają, będą podarunkiem dla Niemców z Besarabii. Po drodze bicie kolbami, na miejscu w Generalnej Guberni tyfus i głód, potem roboty w Rzeszy i KL Dachau”.

Bach osobiście witał przybyłych osiemnastoma pociągami z ośrodka przesiedleń w Poznaniu.

Tymczasem więzienia w Rzeszy i Generalnym Gubernatorstwie zapełniały się aresztowanymi, więc praktyczny Bach wpadł na pomysł założenia obozu koncentracyjnego dla 10 tys. więźniów. Za najlepszą lokalizację uznał dawne koszary wojskowe pod Auschwitz – wcielonym do Rzeszy Oświęcimiem. Pomysł wypalił. Pierwszy transport przybył do lagru 14 czerwca 1940 r. Bach pojawił się w Auschwitz w związku z ucieczką więźnia – obóz podlegał mu jako wyższemu dowódcy SS i policji w tym regionie. Był ogólnie zadowolony, zalecił tylko komendantowi Hößowi usunięcie mieszkańców z obszaru w promieniu pięciu kilometrów i egzekucje w odwecie za ucieczki więźniów.

Pacyfikator o słabych nerwach

Na naradzie u Himmlera w 1941 r., jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, usłyszał jasną deklarację: „rasa słowiańska” ma w przyszłości liczyć o 30 mln ludzi mniej. Jako wyższy dowódca SS i policji na środkowym odcinku frontu wschodniego dowodził zmasakrowanymi w Rydze, Mińsku i Grodnie. W Mińsku 15 sierpnia 1941 r. przyglądał się z Reichsführerem masowej rzezi Żydów. Był bliski zemdlenia.

„Policjanci wykonujący rozkazy popadają w choroby nerwowe albo stają się zwyrodnialcami”

– pisał potem do Himmlera, apelując, by nie wysyłać do takich zadań policji. W uznaniu zasług został pod koniec 1941 r. awansowany na stopień SS-Obergruppenführera (odpowiednik generała Wehrmachtu) i generała policji.

Wtedy nastąpił kryzys – uważający się za frontowego bohatera Bach uświadomił sobie zapewne, że stał się bandytą organizującym mordy bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci. W lutym 1942 r., gdy przebywał po operacji jelit w szpitalu, naczelnym lekarz SS Ernst-Robert Grawitz informował Himmlera:

„Leczenie pacjenta nie jest łatwe ze względu na jego stan psychiczny – krzyczy po nocach, cierpi szczególnie na urojenia, dręczony poczuciem winy w związku z kierowanymi przez niego osobiście rozstrzelaniami Żydów i innymi ciężkimi przeżyciami na Wschodzie”.

Szacuje się, że Bach odpowiada za śmierć ok. 230 tys. ludzi w krajach bałtyckich, na Białorusi i we wschodniej Polsce.

Jesienią 1942 r. poprosił Himmlera, by ten skierował go do walki z partyzantami.

„Sądzę, że mam największe doświadczenie w zakresie zwalczania band”

– pisał, mając zapewne na myśli tłumienie Powstań Śląskich. Uzyskał zgodę i został w czerwcu 1943 r. pełnomocnikiem do „zwalczania band” w okupowanej Europie (*Chef der Bandenkampfverbände*). Podlegał mu obszar Jugosławii, Ukrainy, Białorusi i Generalnego Gubernatorstwa.

„Historyczna misja” w Warszawie

1 sierpnia 1944 r. bawił w Sopocie. Mianowany przez Himmlera – na własną prośbę, jak podają niektóre źródła – dowódcą oddziałów skierowanych do stłumienia powstania, przyjechał 5 sierpnia do Sochaczewa, gdzie założył kwaterę. Hitler wydał Himmlerowi i gen. Heinzowi Guderianowi, szefowi Sztabu Generalnego wojsk lądowych, tzw. rozkaz numer 1. Zgodnie z relacją Bacha, treść przedstawionego mu dokumentu brzmiała:

„Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”.

Spośród 150–180 tys. cywilnych mieszkańców Warszawy, którzy zginęli w czasie powstania, co najmniej trzecią część stanowiły ofiary egzekucji przeprowadzanych przez niemieckie formacje policyjne i wojskowe. Maja Motyl i Stanisław Rutkowski obliczyli, że poza działaniami bojowymi śmierć poniosło co najmniej 63 tys. cywilów. Oprawcy mordowali również wziętych do niewoli powstańców, choć ci mieli białe-czerwone opaski – a więc walczyli zgodnie z konwencją haską.

Nie zasiadł na ławie oskarżonych w Norymberdze, lecz obciążał, kogo mógł, na głównym procesie w 1946 r. O Powstaniu Warszawskim nikt nie powiedział wówczas ani słowa. Po co mieliby Amerykanie stawiać zarzuty świadkowi, któremu najwyraźniej obiecano bezkarność – byle obciążył innych.

Przesłuchiwany przez prokuratora Sawickiego w Norymberdze w styczniu 1946 r., Bach uparcie twierdził, że zjawił się w Warszawie około połowy sierpnia. Trzymał się tej wersji być może dlatego, że dopiero 14 sierpnia Hitler podporządkował mu wszystkie – działające dotąd niezależnie od siebie – jednostki Wehrmachtu, SS i policji niemieckiej w mieście. Swoje przybycie do Warszawy esesman nazwał „początkiem historycznej misji”.

Miał powody, by kłamać. Nie chciał, by uczyniono go odpowiedzialnym za rzeź Woli między 1 a 7 sierpnia oraz masakrę Ochoty, która trwała od 1 do 25 sierpnia. W eksterminacji ludności cywilnej brały udział grupa bojowa SS-Gruppenführera Heinza Reinefartha i podległy mu formalnie oddział SS-Oberführera Oskara Dirlewangera. Ten ostatni składał się z niemieckich kryminalistów pozwalnianych z więzień i obozów koncentracyjnych w zamian za udział w walkach. Jako zdziczała banda zwyrodnialców zapisała się pamięci warszawiaków Brygada SS RONA (Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej) Bronisława Kamińskiego, kolaboracyjna formacja złożona z Rosjan – podobnie jak dwa kolaboracyjne bataliony Azerów.

Cywile byli jednak najczęściej ofiarami zwykłych żołnierzy. Piotr Gursztyn, autor książki *Rzeź Woli. Zbrodnia nierozliczona* twierdzi:

„Brygada Dirlewangera popełniła masę zbrodni wojennych, ale ona była [...] wykorzystywana do walk z powstańcami. Jej zbrodnie miały miejsce w trakcie walk, natomiast *gros* ofiar na Woli to są ludzie wypędzeni z własnych domów, z terenów, gdzie nie toczyły się żadne walki, przez zbiorczy batalion żandarmerii [...]. Mordercami na Woli byli przede wszystkim członkowie tego batalionu. W większości byli to rezerwiści, ludzie w średnim wieku, którzy nie nadawali się do walki frontowej, w ogóle nie nadawali się do walk ulicznych z powstańcami czy na regularnym froncie z armią sowiecką, za to – tak to trzeba nazwać – «świetnie» nadawali się do mordowania kobiet i dzieci”.



Spotkanie Bacha-Zelewskiego z Komendantem Głównym AK, generałem Tadeuszem Borem-Komorowskim. Ożarów, 4 października 1944

Kłamstwa von dem Bacha

Wina za rzezie Woli – największą, jak się przypuszcza, jednorazową masakrę Polaków, która pochłonęła od 30 do 60 tys. ofiar – i Ochoty (ok. 10 tys. ofiar), a także za wszystkie zbrodnie popełniane przez Wehrmacht i podległe mu formacje spada na Bacha jako dowódcę *Korpsgruppe von dem Bach* – cokolwiek on sam mówił na ten temat. A mówił wiele. Twierdził, że starał się zapobiec zbrodniom i uchylił rozkaz własnych zwierzchników.

„Poszedłem do Reinefartha [...] – opowiadał prokuratorowi Sawickiemu. – Zwróciłem mu uwagę na całe «bezhołowie», które zauważyłem, na to, że jego oddziały rozstrzelują ludność cywilną. Wówczas Reinefarth zwrócił mi uwagę na wyraźny rozkaz Himmlera [...], który zabraniał brać jeńców do niewoli i nakazywał każdego mieszkańca Warszawy zabijać. [...] Wtedy z miejsca uchyliłem rozkaz Himmlera”.

Bach przekonywał Sawickiego:

„Podzieliłem mój plan na dwie części: polityczną i wojskową. Było dla mnie rzeczą samo przez się zrozumiałą, że jako Niemiec mam obowiązek stłumić powstanie wszelkimi stojącymi do mojej dyspozycji środkami wojskowymi. Z drugiej zaś strony od pierwszej chwili postanowiłem położyć kres powstaniu – o ile to będzie możliwe – środkami politycznymi”.

Miał polecieć dwa razy do Prus Wschodnich, by poinformować swoich przełożonych o zmianie decyzji – przyjął go tylko gen. Guderian. Wydaje się, że jego zwierzchnicy wycofali się z rozkazu numer 1, skoro niesubordynacja Bacha uszła mu płazem.

„Powiedziałem im [dowódcom jednostek] również, że ludność cywilna ma być traktowana zgodnie z konwencją genewską, o ile nie walczy – twierdził. – Innymi słowy, że ma się ją wysłać na zaplecze, i że sądy wojskowe mają być natychmiast stworzone celem pociągnięcia do odpowiedzialności winnych rabunku i morderstw”.

Na pytanie Sawickiego, jak wyglądała realizacja jego poleceń, odparł:

„W praktyce w zupełności [to] zawiodło [...]. Teoria musiała się załamać w zetknięciu z istniejącym stanem rzeczy, to jest tymi wojskami, które zastałem. Te wojska zaś mogły być zastąpione tylko wtedy, gdybym miał inne”.

Wedle dostępnych informacji, Bach kłamał – rzeczywiście zakazał mordowania kobiet i dzieci, które miały być kierowane do obozu przejściowego, założonego 6 sierpnia w Pruszkowie. Nakazał jednak likwidować mężczyzn – cywilów i powstańców, których uważał za bandytów.

Jego pobudki nie były tak szlachetne, jak starał się wmówić Sawickiemu. Wiedział doskonale, że im silniejszy jest niemiecki terror, tym bardziej rośnie determinacja powstańców. Jednostki pochłonięte zabijaniem i grabieżą nie były w stanie prowadzić konsekwentnej akcji wojskowej, a walcząca stolica stanowiła niebezpieczny punkt zapalny na tyłach frontu wschodniego. Poza tym była ogromnym rezerwuarem siły roboczej. W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. Bach cytował przecież słowa Hitlera: „500 000 sił roboczych w Rzeszy równa się wygranej bitwie”. Chodziło też o odblokowanie wielkiego węzła komunikacyjnego, przez który szły transporty na wschód.

Inferno

Kamińskiego, którego oddziały szczególnie okrutnie traktowały Polaków, kazał zlikwidować 29 sierpnia – nie za bestialstwo jednak, lecz za rabunek na własne konto kosztowności, które powinny były trafić do skarbu Rzeszy. Miał zdumiewający pogląd na bandę kryminalistów pod dowództwem Dirlewangera, skazanego w latach trzydziestych za zgwałcenie dziewczynki.

„Jest to rodzaj przestępców, których nazwałbym kryminalistami dżentelmenami – tłumaczył Sawickiemu. – To byli kłusownicy, a w Niemczech opinia publiczna zapatruje się na kłusownictwo jako na honorowy i dżentelmeński sposób popełniania przestępstwa”.

Kiedy Bach dowodził już siłami niemieckimi w stolicy, przez kościół św. Wojciecha na Woli, zmieniony w punkt zborny, przeszło ok. 90 tys. Polaków. W nieludzkich warunkach, stłoczeni do niemożliwości, bez wody i jedzenia, pozbawieni pomocy dla rannych, czekali tam na wywózkę do Pruszkowa, gdzie panowały warunki równie dramatyczne. „Kłusownicy-dżentelmeni” wywlekali kobiety i dziewczęta z kościoła i gwałcili, a cywilów zabierali, by użyć ich w charakterze żywych tarcz. Stosy trupów piętrzyły się na ulicach, krew płynęła rynsztokami. Niemcy i Azerowie dobijali rannych w szpitalach miejskich i polowych, ulokowanych przeważnie w piwnicach.

Ocalała cudem na Woli Wanda Lurie, nazywana warszawską Niobe, która miała do ostatka nadzieję, że kobietę w ciąży Niemcy oszczędzą, wspominała:

„Gdy pierwsza czwórka dochodziła do miejsca, gdzie leżały trupy, strzelali Niemcy i Ukraińcy w kark od tyłu. Zabici padali, podchodziła następna czwórka, by tak samo zginąć. [...] Podeszłam więc w ostatniej czwórce

razem z trojgiem dzieci do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą – rączkę starszego synka. Dzieci szły, płacząc i modląc się. [...]. W pewnym momencie Ukrainiec stojący za nami strzelił najstarszemu synkowi w tył głowy, następne strzały ugodziły młodsze dzieci i mnie. Przewróciłam się na prawy bok”.

Kula trafiła ją w kark i przeszła przez policzek – ale kobieta wciąż żyła. Leżąc pod stosem trupów, dostała krwotoku ciążowego, była jednak przytomna i widziała kolejne egzekucje.

„Wprowadzono nową partię mężczyzn, których trupy padały i na mnie [...]. Wprowadzono dalszą partię kobiet i dzieci – i tak grupa za grupą rozstrzeliwano aż do późnego wieczoru”.

Wydobyszy się spod zwałów zwłok, Lurie wyszła na ulicę, gdzie Niemcy złapali ją i zagnali do obozu w Pruszkowie. Tam urodziła syna – dała mu na imię Mściśław.

Ponieważ dziesiątki tysięcy rozkładających się trupów trzeba było usunąć, Niemcy utworzyli 6 sierpnia tzw. Verbrennungskommando z setki młodych polskich mężczyzn. Zmusili ich do palenia zwłok, po czym pozbyli się wszystkich. Tego dnia na Woli zginęło około tysiąca ludzi, a kolejnego – prawie 4 tys. Bach dowodził już wówczas w Warszawie.

Walczący pod jego rozkazami oprawcy Kamińskiego likwidowali wraz z oddziałami niemieckimi Ochotę. Mieszkańców spędzali m.in. do Zieleniaka, jednego z najstarszych targowisk Warszawy (dziś: Hale Banacha). 7 sierpnia obóz był pełen cywilów, którzy umierali z braku wody, żywności, środków opatrunkowych lub od rosyjskich kul. Oto jedno z licznych wspomnień:

„Zapadł wieczór i noc, rozświetlona przez pożary domów w pobliżu Zieleniaka. Było czerwono i krwawo. Zaczęła się piekielna noc. Pijane grupy rozwydrzonych mołojców deptały po ludziach, szukając młodych kobiet i dziewczyn. Potem wlekli je pod mur i tam w nieludzkim wrzasku, śmiechu i wyciu, gwałcono je (nawet po jedenastu na jedną dziewczynę). Po tym półnagie leżały, nieraz z nogami opartymi o mur, zastrzelone przeważnie strzałem w brzuch lub piersi”.

Bach zawitał wprawdzie do Zieleniaka, ale nie ukrócił bestialstw.

Kurtuazja w stylu kata

Za osobisty sukces i powód do dumy uważał Bach podpisanie nocą z 2 na 3 października aktu kapitulacji

powstania – w chwili, gdy miasto leżało w gruzach, a dla dowództwa AK było oczywiste, że dalsza walka równałaby się samobójstwu i unicestwieniu całej ludności cywilnej. Rozmowy w Ożarowie Mazowieckim z płk. Kazimierzem Irankiem-Osmeckim „Hellerem” i ppłk. Zygmuntem Dobrowolskim „Zyndramem” – śmiertelnie zmęczonymi u kresu golgoty i pozbawionymi nadziei na odrodzenie suwerennej Polski przedstawicielami Dowódcy AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora” – opisywał jako triumfalne zwieńczenie swych długich starań o „polityczne” zakończenie polskiego zrywu.

„Pełnomocnicy Bora-Komorowskiego byli ze mną przez cały czas, jadali razem ze mną” – podkreślał w zeznaniach to, co uważał za dowód swego rycerskiego zachowania. Dodawał, że „Bór”, z którym widział się raz, odmówił zajęcia miejsca przy stole.

Nie omieszkał, jak wspominał Iranek-Osmecki, wygłosić peanu na temat „zdolności dowódczych Bora-Komorowskiego”, „bitności powstańców” – oraz pochwalić się własną intuicją, która podpowiadała mu, że jednak doprowadzi do rozmów. „Miałem rację” – powtarzał, jakby podpisanie aktu kapitulacji było skutkiem jego dyplomatycznych zabiegów, a nie konsekwencją zbrodniczych niemieckich działań. Za zasługę poczytywał sobie to, że obszedł się z dowódcami powstania zgodnie z międzynarodowymi konwencjami. Wziętemu do niewoli „Borowi” i jego adiutantom dał, co zgodne było z prawem wojennym, „pozwolenie na ordynansów” i zabrał ich „specjalnym pociągiem” do polowej kwatery Himmlera w Kruglanken (dziś: Kruklanki) w Prusach Wschodnich. A przecież wywożąc tam generała, nie okazywał mu szczególnych względów, lecz wykonał tylko polecenie Himmlera, który chciał z „Borem” rozmawiać – ten jednak odmówił.

Bach wmawiał Sawickiemu, że „Bór” go szanował. „Dlaczego pan jest taki inny, aniżeli reszta dowódców niemieckich?” – miał spytać. Von dem Bach zapędził się, podkreślając „towarzyski” charakter rozmów z Dowódcą AK w niewoli: „Ja także mam słowiańską krew – tłumaczył mu rzekomo. – Rodowe nazwisko mojej matki brzmiało Szymańska”. I dodał:

„Wspólnie z Borem-Komorowskim ustaliliśmy, że przodkowie jego i moi otrzymali szlachectwo od króla Jana III Sobieskiego po zdobyciu Wiednia”.

Jego mitomańskie skłonności nie miały granic. Kto da wiarę temu, że wyszedłszy z ruin stolicy, „Bór” gawędził z katem Warszawy jak równy z równym?

Życie za zeznania

Już w październiku 1944 r. von dem Bach został wysłany przez Hitlera do Budapesztu, od lutego 1945 r. dowodził w rejonie Baden-Baden i na Pomorzu. Ale to były ostatnie chwile Rzeszy. 1 sierpnia 1945 r.

aresztowali go Amerykanie.

Zaradny i obrotny Bach dobił z nimi targu. Nie zasiadł na ławie oskarżonych w Norymberdze, lecz obciążał, kogo mógł, na głównym procesie w 1946 r. O Powstaniu Warszawskim nikt nie powiedział wówczas ani słowa. Po co mieliby Amerykanie stawiać zarzuty świadkowi, któremu najwyraźniej obiecano bezkarność – byle obciążył innych. Gdy wychodził z sali, Hermann Göring rzucił w jego kierunku:

„Ten zdrajca, ta wstrętna świnia! Był najbardziej krwawym mordercą w całym tym cholernym układzie! *Schweinehund*, sprzedaje duszę, żeby uratować swoją śmierdzącą skórę!”.

W 1951 r. Bach trafił przed komisję denazyfikacyjną. Został skazany na dziesięć lat obozu pracy, ale zaliczono mu pięcioletni pobyt w areszcie śledczym. Urlopowany, oświadczył sparaliżowanej żonie:

„Niech po mnie przyjadą. Ani mi w głowie stawiać się samemu”.

Nikt się po niego nie zjawił. Resztę kary pozwolono mu odbyć w areszcie domowym. Znalazł dla rodziny schronienie w oborze pod Norymbergą. Potem udało mu się przeprowadzić do dwupokojowego mieszkania w pobliskim Eckersmühlen. Pracował jako nocny stróż.

„Jestem człowiekiem Hitlera”

Nie wychylał nosa z miasteczka. Aresztowany znów w 1958 r., został skazany w 1961 r. przez Sąd Okręgowy w Norymberdze na cztery i pół roku więzienia za zlecenie swoim podwładnym w 1934 r. zabójstwa swojego osobistego wroga Antona von Hohberga und Buchwalda. Na sali sądowej Bach powiedział to, o czym w 1946 r. w Norymberdze wolał zapomnieć: „Jestem człowiekiem Hitlera. Do dziś jestem przekonany o jego niewinności”.

Otto von Loewenstern, dziennikarz lewicowego tygodnika „Die Zeit”, dotarł do niego kilka dni przed aresztowaniem. Wysłuchawszy tyrady o wstrząsie, jaki przeżył Bach na widok egzekucji na wschodzie, zapytał: „Czy wtedy w pańskim stosunku do Hitlera coś się zmieniło?”. Bach odparował: „Wierzy pan naprawdę, że Führer wiedział o tych rzeczach?”.

Przecież ten sam Führer okazał mu łaskawość, kiedy wyznał, że jeszcze przed 1933 r. obie jego siostry

poślubiły Żydów. Po przejęciu władzy przez Hitlera emigrowały z rodzinami do Ameryki Południowej. Sam zgłosił to Himmlerowi, a ten przekazał prawdę Hitlerowi. I Führer, który mówił: „Bach-Zelewski jest jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich znam. Nawet w NSDAP powierzam mu zadania najtrudniejsze” – przebaczył. Dlatego Bach został Hitlerowi wierny do grobu.

Po raz ostatni stanął przed sądem w 1962 r. – tym razem pod zarzutem zabicia pięciu niemieckich komunistów w 1933 r. Wymierzono mu karę dożywotniego więzienia. Zmarł w monachijskim szpitalu więziennym dziesięć lat później.

Jego konfabulacje przeplatające się z prawdą przetrwały. Jeżeli ktoś w Niemczech już nie wie, kim był, a omija naukowe opracowania, może natknąć się na opinię Loewensterna, opublikowaną w poczytnym tygodniku w 1961 r.:

„Gdyby żył w innych czasach i miał innego przywódcę, na przykład Napoleona, może przeszedłby do historii jako dzielny żołnierz [...]. Ale urodził się za późno i ma brudne ręce, bo służył złej sprawie”.

Historycy zza Odry traktują go w pierwszym rzędzie jako mordercę Żydów – o Powstaniu Warszawskim piszą zdawkowo.

Tekst pochodzi z numeru 7-8/2019 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ